

" Polacy na Wołyniu w latach 1939 - 1946 "

Ojciec mój dr Stanisław Lipiński posiadał majątek ziemski w Zaturcach powiat Horochów, położony w połowie drogi między Łuckiem a Włodzimierzem Woł. Dzieciństwo spędziłem w domu rodzicielskim wśród 5-cioorga rodzeństwa i kochających nas bardzo Rodziców. W 1932 r. wstąpiłem do Państwowego gimnazjum im. M. Kopernika we Włodzimierzem a w latach 1937-39 studiowałem^w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie, przygotowując się zawodowo do prowadzenia majątku wraz z Ojcem. Wiosna 1939 roku była dla nas tragiczna. Zmarła matka nasza w wieku 59-ci lat, pozostawiając czworo dzieci w wieku 16 do 24 lat i najmłodszego brata w wieku 7-iu lat. Reumatyzm, który zniszczył organizm matki był wynikiem ciężkiej pracy w pierwszych zwłaszcza latach po wojnie 1914-18, gdy cały majątek został spalony, a odbudowę Rodzice rozpoczęli od kopania ziemianek, w których początkowo mieszkali. Wybuch wojny 1 września 39 r. zastał mnie w Wojnicy oddalonej o 12 km od Zaturzec, gdzie odbywał się pobór koni do wojska. O wojnie dowiedziałem się dopiero po pożucniu gdy jednym z oficerów dotarł na rozległe pola po odbiór koni. Już około 6 - 7 września zaczęli napływać z zachodniej części Polski uciekinierzy, znajomi i nieznajomi, których przyjmował Ojciec gościnnie po stacjonowaniu. Później Zaturce przeszły też zupełnie świeże, dopiero co zmobilizowane jednostki wojskowe idące na zachód na front.

W niedzielę 17 września po południu dowiedzieliśmy się z komunikatów radiowych o wstąpieniu wojsk sowieckich na tereny jak to oznajmiono „Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi” celem uwolnienia ludności ukraińskiej i białoruskiej z pod burżuazyjnej władzy polskiej. Ojciec mój który znał ból szwielów z czasów rewolucji, gdy przebywał w Kijowie i widział okropne skutki zamieszek i rzezi inteligencji, zdecydował się na natychmiastowy wyjazd z Zaturzec. Całą noc trwały przygotowania i pakowanie najniezbędniejszych rzeczy oraz kompletowanie wozów, uprzęży, koni i paszy na dalszą podróż. Rankiem 18 września na kilku wozach prowadzonych przez Ojca i rodzeństwo opuściliśmy dom rodzinny - a ojciec opuszczał Zaturce poraz trzeci / w 1915 r. jadąc na wschód, 1920 jadąc na zachód / których już nigdy nie zobaczył. Wraz z nami wyjechało wiele

osób - uciekinierów z zachodu, które przebywały w Zaturcach. Od tej chwili rozpoczęła się dla nas jak i dla wielu Polaków gehenna wojenna trwająca pięć i pół lat. Przed wieczorem przy wjeździe do Włodzimirza byliśmy zatrzymywani, rewidowani przez powstałe już komitety rewolucyjne z czerwonymi opaskami na rękach, składające się przeważnie z młodych Żydów. Noc minęła wśród strzelaniny, ciągłego ruchu, zgiełku i wrzawy na podwórzu, na którym zatrzymaliśmy się. Następnego dnia obfitował w wiele gwałtownych przeżyć a tak różnych od dotychczasowego naszego życia. Strzelanina z lasów przez które przejeżdżaliśmy wywoływała panikę i popłoch koni. Na drogach tworzyły się zatory. W ciągu paru godzin jazdy do Uściługa gubiliśmy się i znów znajdowaliśmy. Most na Bugu był spalony, przeprawa przez rzekę odbywała się w bród dość głęboki i wąski, na którym grzęzły ciężkie wozy uciekinierów z Pomorza i Poznańskiego, wracających do domu. Od czasu do czasu powstawał tumult wywoływany strzałami z pobliskich lasów i przepychaniem się wozów do przejazdu. Przebywaliśmy teraz na terenie pozbawionym władzy polskiej, gdzie zaczynały działać komunistyczne jednostki, szukające rozboju, zemsty i rozrachunku. Na szczęście pod wieczór udało się całej rodzinie przejechać szczęśliwie przez Bug i spotkać się na zachodniej stronie rzeki. Teraz powstał dyemmat gdzie jechać.

Ojciec mój w latach trzydziestych rozpoczął w Zaturcach hodowlę pszenic i ziemniaków w wyniku których to prac powstały odmiany pszenic - "Wołynianka" i "Zaturzecka Biała". Jednocześnie prowadził reprodukcję ~~hodowli~~ zbóż jarych Hodowli Braci Kleszczyńskich z Krakowa. W ciągu tych kilku lat gościł przedstawicieli hodowli krakowskiej jak i sam bywał tam, wizytując ośrodki hodowlane. Mając ten jedyny punkt zaczepienia, podjął decyzję jazdy do majątków Kleszczyńskich położonych koło Krakowa.

Pełnym emocji był jeden z następnych dni, gdy jadąc z Hrubieszowa w stronę Zamościa w miejscowości Werbkowice minęliśmy mocno ufortyfikowaną placówkę żołnierzy polskich, oczekujących Niemców. Istotnie w kilkanaście minut po tym na szocie, którą jechaliśmy pojawiły się czołgi niemieckie, które otwarły ogień na Werbkowice. Znaleśliśmy się w ten sposób między dwoma jednostkami walczącymi ze sobą. Na szczęście czołgi za chwilę wycpfały się na zachód a uciekinierzy w tym i my powracali z pól i zarośli w których się chowali do swoich wozów.

Nocą spędzaliśmy przeważnie w polach śpiąc na wozach a w razie deszczu pod wozami. Jedynie 7-letni brat wraz z Nianią - Nataszą, ukraińką, pochodzącą z czernigowskiej Gubernii, która opiekowała się w Kijowie nastarszym bratem, gdy Rodzice tam przebywali w czasie pierwszej wojny, a po tym nami wszystkimi - spali na wozie wyposażonym w budę "cygańską", chroniącą od deszczu i kurzu w ciągu drogi. Dalej jechaliśmy bocznymi, polnymi drogami kierując się do Sandomierza. Do uszu naszych dochodziły, zwłaszcza nocą odgłosy walk toczonych między wojskami polskimi a niemieckimi, a na wschodzie cały widnokrąg był jedną łuną, wskazującą że armia sowiecka podąża tuż za nami. Na drogach spotykaliśmy całe kolumny wojsk niemieckich i tłumy uciekinierów podążających na zachód. Mniej więcej po 10 -ciu dniach dojechaliśmy do Annopolea nad Wisłą. Most był zniszczony. Niemcy pobudowali most pontonowy przez który bez przerwy dniem i nocą sunął sznur pojazdów i pieszych na zachód jak i też masy żołnierzy niemieckich jadących na wschód. I tu znowu tumult i tłum ludzi chcących znaleźć się po drugiej stronie Wisły. Żandarmeria niemiecka przeprowadzała kontrolę dokumentów a nikt nie mógł i wozów przed wpuszczeniem ludzi na most pontonowy. Będąc już kilkakrotnie kontrolowanymi zawracaliśmy końmi na bok, żandarmi nas nie puszczali. Ojciec władający biegle językiem niemieckim /kończył studia agronomiczne w Lipsku/ plus prezent w postaci złotej monety umożliwiły przejazd nam na zachodnią stronę Wisły. Dopiero w parę lat po wojnie zrozumiałem to zachowanie Niemców, które było wynikiem porozumienia Mołotow - Ribentrop z 23 sierpnia 39r. dzielące Polskę na 2 części, część sowiecką aż po Narew, Wisłę i San i dlatego nas mieszkańców wschodniej Polski nie chcieli przepuścić przez Wisłę. Dalsza podróż w warunkach znacznie spokojniejszych przebiegała bez większych wydarzeń. W pierwszych dniach Października znaleźliśmy się wszyscy w majątku Czechy powiat Miechów, należącym do Pani Ireny Kleszczyńskiej, gdzie Ojciec znalazł pracę zarządcy tego majątku. Młodsze rodzeństwo po kilku tygodniach wyjechało do Krakowa na naukę w szkołach średnich, początkowo oficjalnie, ale już po krótkim czasie na kursach tajnych. Natomiast ja 1-go listopada rozpocząłem pracę zawodową jako praktykant w hodowli roślin w Polanowicach, centralnym majątku firmy Braci Kleszczyńskich, zajmującym się hodowlą

zbóż i buraków pastewnych. Przesuwając ~~się~~ moje losy bardzo w przed-
chcę powiedzieć, że całe moje życie zawodowe związane zostało z hodo-
włą roślin, a majątki dawnej formy Braci Kleszczyńskich położone na
terenie powiatu Miechów stanowiły bazę przyszłego przedsiębiorstwa
pod nazwą " Krakowska Hodowla Roślin " w którym pracowałem 35 lat aż
do emerytury.

Nowym wydarzeniem, które zadecydowało o dalszych moich losach
było rozpoczęcie się wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 roku.
Mając skończone 20 lat, rok praktyki w dobrym gospodarstwie rolnym i
ukończoną przed kilku tygodniami szkołę rolniczą w Czernichowie pod
Krakowem, do której uczęszczałem w latach 40/41 /zaliczono mi dwa la-
ta szkoły Czeszyńskiej/ - zdecydowałem się za zgodą ojca na wyjazd na
Wołyń do Zaturzec. Początkowo wydawało się nam wszystkim, że granica
Generalnego Gubernatorstwa będzie przesunięta dalej na wschód. Po
przyjeździe do Hrubieszowa zorientowałem się, że granica jest strze-
żona przez posterunki niemieckie i nic nie zanoszą na jej zmianę.
Dzięki pomocy jednego z kolegów z Czernichowa uzyskałem adres, gdzie
zatrzymują się kurierzy niemieccy jeżdżący z Hrubieszowa do Łucka.
Po nawiązaniu kontaktów z jednym z kurierów niemieckich zgłosiłem
się wieczorem na umówiony adres. Przyjechał żołnierz niemiecki na mo-
tocyklu przynosząc płaszcz i chełm w który ja się ubrałem i wsiadłem
z nim na motocykl. Po kilku dziesięciu minutach przejechaliśmy przez
Bug - granicę bez zatrzymania, potem ~~KKMKK~~ Uściług, Włodzimierz i
Zaturce. Tu zatrzymaliśmy się, zsiadłem z motocykla, oddałem płaszcz
i chełm i zostałem tylko w letniej wiatrówce i absolutnie bez niczego.
Był to wczesny ranek 5-tego sierpnia, bardzo chłodny ale piękny. I tak
prawie po upływie dwu lat znalazłem się znów w Zaturcach, ale dalsze
moje losy stanowiły wielką niewiadomą. Do GG. nie docierały żadne wia-
domości o stosunkach panujących na tych dawnych polskich terenach.
Wprawdzie mówiono o państwie ukraińskim, ale to wszystko było mało
znane.

Pierwsze kroki skierowałem do plebanii, która była położona o
kilkaset metrów od szosy. Obudziłem księdza Gracjana Rudnickiego, pro-
boszcza parafii w Zaturcach a późniejszego żołnierza i kapelana 27 -ej
Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej, Ksiądz Rudnicki powitał mnie bardzo
serdecznie i wypowiedział słowa, które upamiętniły mi się bardzo do-
kładnie " jesteś pierwszym, który przybył do nas z Polski opowiadaj
jak u was ". Upłynęło dużo godzin na rozmowach zarówno dotyczących
warunków życia Polaków w Gubernatorstwie jak i Polaków na Wołyniu.

Większość ludności polskiej ocalała od przesładowań i wywózki na wschód uważała przyjscie Niemców za ocalenie i tak początkowo traktowała nowych okupantów. Ludność ukraińska witała wkraczające wojska niemieckie w nadziei utworzenia własnego państwa ukraińskiego z językiem i symbolami narodowymi. Rano po wysłuchaniu mszy św. poszliśmy z księdzem Rudnickim do odległego o dwa km majątku mego ojca Zaturce. Po drodze wstąpiliśmy na cmentarz, gdzie spoczywała od lutego 1939 roku moja matka i braciszek zmarły w kilka miesięcy po urodzeniu w 1932 r. oraz stryj mój Wacław. W majątku zostałem serdecznie powitany przez pracowników, którzy w większości pracowali do wojny u mego ojca.

Organizacja gospodarstw rolnych wprowadzona przez władze niemieckie została utrzymana według schematu sowieckiego. W Zaturcach majątku dość dużym / łączny areał z lasem 713 ha / i położonym dogodnie przy szosie Łuck - Włodzinierz stworzono siedzibę sowchozu / nasze PGR / dołączając sąsiednie majątki w Zaturcach PP Małtynowskich, Kaczkowskich, Wojtychów, majątek Chołopecze, Berezkoraz nowo utworzone przez sowietów gospodarstwo Dąbrowa powstałe z połączonych gospodarstw kolobistów niemieckich wywiezionych do Rzeszy w 1940 r, w ramach porozumienia niemiecko-sowieckiego. Dom mieszkalny, który został przez ojca wybudowany w latach 1926 - 29 i w którym spędziłem dzieciństwo został podzielony na wiele mieszkań, które zajmowali pracownicy dawnego sowchozu a obecnego Stadts-gut -u . Na podwórzu wzniesiono kilka nowych budynków. Po przenocowaniu na Plebanii następnego dnia pojechałem do Łucka gdzie mieszkał mój stryj, młodszy brat ojca lekarz. Cała rodzina stryja ocalała, nikt nie został wywieziony choć znajdowali się już na liście osób przygotowanych do następnych wywozek, które z Wołynia szły głównie do Archangielska lub Kazakstanu. Po kilku tygodniach pobytu w Łucku, który był siedzibą Generalnego Komisariatu dla Wołynia, w tym i władz zajmujących się rolnictwem otrzymałem skierowanie na objęcie stanowiska kierownika majątku Zaturce. Po przyjeździe do majątku ulokowałem się w małym mieszkaniu, stanowiącym część dawnego naszego salonu i rzuciłem się w wir pracy zawodowej. Nadchodziła jesień, pora siewów, zbioru okopowych i orek zimowych. W czasie działań wojennych rozgrabiono dużo koni i trzeba było zacząć od kompletowania sprzężaju, który stanowi podstawę prawidłowej gospodarki. Każdy z siedmiu kierowników miał pod swoją opieką jedno gospodarstwo, byli to poza Panią Kasianowską z Berezka i po za mną ukraińcy. Całością kierował administrator Sawicki też

ukrainiec. Po kilku miesiącach a może dopiero na początku 1942 roku został ustanowiony zarządca niemiecki. Został nim Werner Müller pochodzący z pod Szczecina, który zamieszkał we dworze w Zaturcach i miał nadzór nad wszystkimi majątkami wchodzącymi w skład Zaturzec. Nie znał on żadnego języka po za niemieckim, którym ja władałem początkowo słabiej a później coraz lepiej. Stąd moja funkcja kierownika gospodarstwa automatycznie poszerzyła się. Na spotkaniach Müller-Sawicki jak i na naradach które prowadził Müller pełniłem funkcję tłumacza. Ja używałem języka polskiego ze wszystkimi, urzędnicy ukraińscy odpowiadali po ukraińsku, ale rozumieliśmy się doskonale i na tym tle nie dochodziło do zadrażnień. Stan ten spowodowany był jedynie moją znajomością języka niemieckiego i dojście do Müllera było tylko przeze mnie.

Podobnie jak Zaturce były zorganizowane sąsiednie majątki jak Okorsk, Majówka, Boguniów, które weszły w skład zespołu Torczyn. Do nich też powracali przedwojenni właściciele lub zarządcy tych majątków, otrzymując za swoją pracę tylko wynagrodzenie. Mój czas wolny spędzałem na spotkaniach wśród młodzieży Okorska, Torczyna, Majówki z którymi miałem bliskie kontakty z przed wojny. Bawiliśmy się często aż do rana - to była reakcja na okrutne lata rządów sowieckich. Ja, który przybyłem z GG. gdzie widziałem już skutki zbrodniczego panowania niemieckiego dziwiłem się tej wielkiej swobodzie. Ta beztroskość nie trwała długo, bo już nadciągała nowa fala okrucieństw - okrucieństw strasznych ze strony tubylczej ludności to jest ofi Ukraińców. P

Praca moja zawodowa sprawiała mi dużą satysfakcję, była samodzielną i skutki jej były widoczne. Majątek Zaturce dźwigał się do stanu prawie przedwojennego, ale i gospodarowanie w tych czasach było bardzo trudne. Brak było wszelkich środków produkcji, trzeba było je zdobywać drogą wymiany z sąsiednimi majątkami lub zaopatrywać się w sposób specjalny. Brakujące żelazo, stal, blachę uzyskiwało się z rozbieranych czołgów, które stały w dużych ilościach wzdłuż szosy, pozostawione przez uciekające wojsko sowieckie. Węgiel wypalało się z drzewa twardego, który służył po tym do prac w kuźni. Uprząż dla koni szyli rymarze ze skór wyprawianych na miejscu. Pomysłowość ludzka przy braku gospodarki towarowej sięgała szczytów.

Tak minął 1942 rok i zaczynał się najtragiczniejszy na Wołyniu rok 1943. Już pierwsze wiadomości o pojedynczych mordach

dokonywanych we wschodnich powiatach Wołynia na ludności polskiej przez ukraińców napawały nas obawą. Zaczęto wydobywać broń pochodzącą z 1939 roku a głównie z 1941, kiedy to ustępujące wojska sowieckie pozostawiały duże jej ilości. Coraz częściej na spotkaniach młodzieży polskiej mówiło się o konieczności organizowania samoobrony. W majątku Zaturce była gorzelnia, którą kierował Pan Łyżwański i on to dostarczał spirytus mimo ostrych kontroli Akcyzy, który następnie wymieniałem w Łucku na broń i amunicję. W ten sposób przybywało coraz więcej broni. Rozpoczęła się na szerszą skalę organizacja wojskowej działalności konspiracyjnej, do której przystępowały całe rodziny. Głównym zadaniem tej pracy konspiracyjnej była walka z okupantem niemieckim, ale ponieważ w roku 1943 wyłonilo się główne zagrożenie ze strony ukraińców włączyła się ona intensywnie w obronę życia całych polskich ośrodków. Wiosną 1943 roku wstąpiłem do Polskiego Związku Powstańczego /działającego w ramach Armii Krajowej o której to istnieniu dowiedziałem się znacznie później/ składając przysięgę i przyjmując pseudonim "Lech". Coraz częściej spotykałem się z kolegami z okolicznych placówek przeważnie w niedzielę po mszy św. w Plebanii u Księdza Gracjana Rudnickiego. W tym czasie wiele samoorganizujących się placówek polskich w obronie przed napaścią ukraińców otrzymywało niewielkie ilości broni od Niemców, którym zależało na istnieniu tych placówek, zwłaszcza zlokalizowanych przy głównych liniach drogowych i kolejowych. Podobnie placówka w Zaturcach otrzymała kilka karabinów ręcznych. Fakt ten mocno ułatwił posiadanie i używanie broni konspiracyjnej.

Prawdziwym sądnym dniem dla tego rejonu Wołynia tj. dla powiatu, Łuckiego, horochowskiego i włodzimierskiego była niedziela 11 lipca 43 r tak zwana krwawa niedziela. Rozpoczęto ją od napaści i mordów ludności w kościołach i wsiach polskich. Podstawowe narzędzia jak noże, siekiery, piły, kosy służące pracy ludzkiej tworzącej nowe dobra, posłużyły w tym przypadku do pozbawiania życia swoich sąsiadów, znajomych, przyjaciół a nawet członków własnych rodzin. Tego też dnia wymordowano kilkadziesiąt osób narodowości polskiej w pobliskim kościele w Kisielinie w czasie mszy św. Niewielka grupka Polaków z księdzem Kowalskim i dowódcą tej placówki Włodzimierzem Dębskim schroniła się w plebanii, gdzie dzielnie odpierała ataki nacierających ukraińców aż do wieczora. W nocy obrońcy wycofali się do Łokacz, Włodzimierza i Zaturzec. W dniu następnym w Wólce Sadowskiej położonej na południe od Zaturzec nastąpił mord rodzin polskich. Fala uciekinierów na wozach z dobytkiem, pieszych z ma-

ymi tobożami, starych i młodych, zdrowych i rannych zapełniła całe obejście majątku Zaturce. Byli to Polacy z okolicznych wsi północy i południa pozbawieni domów, dobytku i środków do życia. Dowódcą wojskowym placówki samoobrony został Kieczysław Peretiatkowiec, pracujący jako księgowy w gorzelnii, przedwojenny podoficer rezerwy, który zarządził pogotowie, polegające na pełnieniu dyżurów przez uzbrojonych w nocy w obawie przed napadami ukraińskimi. Ja jako zastępca komendanta placówki zająłem się sprawami bytowymi tej tak dużej masy ludzkiej, która wynosiła od 300 do 500 osób. Najbardziej poszkodowanych głównie rannych umieszczaliśmy w gorzelnii, w tym okresie nie pracującej a posiadającej duże ilości pomieszczeń, a pomocy udzielali pracownicy majątku. Żywność dla ludzi i karmę dla bydła i koni zdobywało się w wypadkach w dzień do domów o ile nie zostały spalone lub opuszczone gospodarstw z których zabierano wszystko co mogło przydać^{się} do nowych warunków bytowania przeważnie pod gołym niebem. W wyprawach tych towarzyszyli uzbrojeni żołnierze placówki dla uniknięcia dalszych strat i obrony. Tak minęły żniwa i zaczęła się jesień. Coraz więcej ludzi opuszczało czasowe schronienie w Zaturcach przenosząc się do miast jak Łuck, Włodzimierz, Torczyn i większych osiedli jak Wojnica. Pozostała ludność polska rozmieszczona we wszystkich dostępnych pomieszczeniach zaczęła umacniać obronę placówki. Zaczęto kopać schrony, rowy je łączące, zabezpieczać okna piaskiem i siatką przeciw granatom. Placówka w Zaturcach mniej była narażona na ataki ze strony ukraińców ze względu na swoje położenie przy szosie oraz czasowe przebywanie niewielkich grup żołnierzy niemieckich, przechodzących z frontu lub na front. Późną jesienią została zaatakowana polska kolonia Lipnik, odległa o półtora km od Zaturzec. Natychmiast pospieszyliśmy z pomocą i po kilku godzinach udało się odeprzeć atak ukraińców podchodzących od miejscowości Oździutycze.

Nie wdaję się w tło tak strasznej nienawiści i zwyrodnienia nacjonalistów ukraińskich, które znalazło ujście w bestialskim sposobie mordowania. Dokładne straty ludności polskiej na Wołyniu dzięki staraniom Głównej Komisji do Badania Zbrodni Hitlerowskich i Sowieckich oraz Środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji AK - koledzy Turowski i W. Siemaszko opracowali szczegółowe kalendarium tych zbrodni.

Na początku stycznia 1944 r wojska radzieckie przekroczyły granicę polsko-rosyjską z 1939. Były to najbardziej wysunięte oddziały sowieckie na zachód. Kontakty dyplomatyczne między władzami Rządu Pols-

kiego w Londynie a Rządem Sowieckim zostały już wcześniej zerwane, nikt nie wiedział jakie stosunki zapanują między polskimi oddziałami partyzanckimi a wkraczającą armią czerwoną. Komenda Główna AK wydała rozkaz akcji "Burza". Rozpoczęła się koncentracja oddziałów partyzanckich w rejonie Włodzimierz-Luboml-Kowel. Front zbliżał się szybko, już drugiego lutego 1944 r. czł~~o~~wocki armii radzieckiej prowadziły boje pod Torczynem, oddległym o 12 km od Zaturzec. W tej sytuacji pozostała ludność polska z placówki w Zaturcach i Lipniku w pierwszych dniach lutego opuściła Zaturce kierując się do Włodzimierza. Tu głównie młodzież uzbrojona bronią z placówek przeszła do Bielina a następnie na koncentrację 27 Wołyńskiej Dywizji AK dowodzonej w tym czasie przez ppł. Jana Wojciecha Kiwerskiego pseudonim " Oliwa ". Pozostali przejechali Bug i napotykając polskie wsie zaczęli lokować się gdzie kto mógł, lub jechając dalej w głąb woj. lubelskiego. Ja wróciłem do Ojca, który pracował nadal w majątku Czechy w powiecie miechowskim.

Placówki samoobron, których na Wołyniu było kilkaset, od tak gużych jak sławne Przebraże liczące kilkanaście tysięcy polaków do wielu znacznie mniejszych lub zupełnie małych - spełniły podstawowe zadanie tj. ochroniły życie wielu tysiącom polaków i pozwoliły im przetrwać najcięższy okres. To z nich powstawały oddziały partyzanckie a w końcu największa jednostka bojowa Armii Krajowej licząca około 7 tysięcy ludzi, wiążąca duże ilości wojsk niemieckich w zachodniej części Wołynia. Okresowo wspomagała ona działania Armii Czerwonej jak np. w opanowaniu Kowla, ważnego węzła kolejowego. Dywizja ta po szeregu walkach stoczonych w północno-zachodniej części Wołynia i po dwukrotnym przebiciu się przez kordon otaczających ją wojsk niemieckich przeszła przez Bug i tuż po wyzwoleniu Lubartowa w lipcu 1944r. została rozbrojona przez dowódctwo wojsk radzieckich.

Poświęcenie, trud i walka tylu Polaków z Wołynia oraz śmierć około 700 żołnierzy zostaną włączone w straty, jakie ponieśli Polacy w II wojnie światowej.

Wojna toczyła się nadal a losy Wołyniaków układały się w najróżniejszy sposób. W maju 1945 największa wojna 20 wieku została zakończona. Mimo ofiar tak wielkich na wszystkich frontach tej wojny - wolności nie uzyskaliśmy. Zostaliśmy sprzedani przez aliantów. Dopiero obecnie po okresie półwiecza zaczynamy żyć w Wolnej i Niepodległej Polsce.

Na zakończenie kilka słów jak potoczyły się losy dalsze naszej rodziny po uzyskaniu "Niepodległości". Ojciec rozpoczął pracę w Państwowych Zakładach Hodowli Roslin i tam oddał się całkowicie pracy naukowej w hodowli ziemniaków, zorganizował dużą Stację Hodowli Ziemniaka w Zamartem na Pomorszu i Laboratorium dla prac odpornościowych w Gdańsku-Wrzeszczu, gdzie pracował do śmierci w 1954 roku. Siostra poszła śladami Ojca, skończyła Wydział Rolniczy UJ a następnie pracowała w placówkach Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roslin w hodowli ziemniaka. Pracę zakończyła w Akademii Rolniczej w Olsztynie jako docent dr habilitowany w Metodzie Genetyki i Hodowli Roslin. Zmarła w 1987 roku. Wszyscy tejże bracie skończyli wyższe studia i założyli rodziny. Dwaj są już na emeryturze, a najstarszy pracuje jako chirurg w Akademii Medycznej w Gdańsku. Ja też ukończyłem Wydział Rolniczy UJ, ożeniłem się z koleżanką ze studiów, krakowianką i tu w Krakowie osiadłem na stałe. Pracowałem jak już wspominałem w specjalistycznym dziale rolnictwa tj. w hodowli roślin. Mam dwoje dzieci - córkę, która ukończyła Akademię Wychowania Fizycznego i syna który kontynuuje zawód rodzinny tj. rolnictwo, pracując w doświadczalnictwie rolniczym na Północy. Ma dwie córki Małgę i Magdę. Obie prawnuczki Stanisława osiadłego od pokoleń na żyznym, urodzajnym polu, zapuszczają korzenie w skalistą, górską glebę.

To, że cała duża nasza rodzina przetrwała okupację i wojnę bez strat, zawdzięczamy trafnej decyzji Ojca o natychmiastowym wyjeździe 18 września 1939 r z Zaturzec. Nie poświęciliśmy losu wielu, wielu Polaków deportowanych w głąb Związku Radzieckiego.

To, że potrafiliśmy potem wszyscy zorganizować sobie życie w zmienionych warunkach jest dużą zasługą naszych rodziców, którzy wychowali nas w zasadach chrześcijańskich, poszanowania ptacy i równości społecznej.

Wierzę też głęboko w opiekę jaką otaczała nas Matka Boska Pocieczenia w kościele Zaturzeckim przed którą Matka nasza za życia wypraszała dla nas łaski. Cudowny obraz ten znajduje się obecnie w kościele parafialnym w Teratynie koło Hrubieszowa, gdzie jest czczony i odwiedzany przez parafian zaturzeckich osiadłych tam oraz rozsianych po całej Polsce.